Ostatni wywiad Franciszka Pieczki: za mało grałem komedii

Fot. Smoliński/polskapress

A⁻ A A⁺

Kraków to moja młodość, moja miłość - mówił w ostatnim autoryzowanym wywiadzie Franciszek Pieczka. Przeprowadził go 20 lipca tego roku Dariusz Domański, biograf i przyjaciel artysty. Wybitny aktor zmarł 23 września.

Kup prenumeratę cyfrową Gazety Krakowskiej

Franciszku, jesteś na progu 95 lat życia, czy czegoś żałujesz?

Jak się tak długo żyje, to nie zastanawiasz się nad tym. Mogę powiedzieć, że niczego nie żałuję, ale też mogę powiedzieć, że wiele żałuję, np. zawodowo, że nie zagrałem Hamleta, może Konrada, ale zagrałem wprawdzie w teatrze Polskiego Radia Króla Leara... Hm. Za mało było komedii , np. Aleksandra Fredry. Rodzinnie myślę, że jestem jednak raczej spełniony, jako mąż, ojciec, dziadek i pradziadek, czegóż więcej chcieć.

Czego więcej?

Spokojnego bytu w jesieni życia, w gronie najbliższych, rodziny.

Rodzina jest dla Ciebie najważniejsza, ale jesteś częścią nas, Twoich

widzów, którzy kochają: Gustlika, Mateusza, Jańcia Wodnika czy Stacha Japycza…

Lenniego, Woyzecka…

Czujesz się bardziej aktorem teatralnym czy filmowym?

Nie mogę powiedzieć, że jestem aktorem teatralnym tylko czy filmowym. Realizowałem się w kilku formach aktorskiej wypowiedzi, w telewizji, radiu czy dubbingu, to też była ważna część mojej pracy. Teatr powinien być miejscem najważniejszym dla każdego prawdziwego aktora, to chyba oczywiste, nic nie zastąpi żywego kontaktu z widzem, żadna telewizja czy film.

Zacznijmy zatem ab ovo, jaka była Twoja droga do teatru, filmu?

Chcesz sprowokować do zwierzeń starca, czy ja to pamiętam? Urodziłem się w Godowie na Górnym Śląsku w roku 1928. Mój ojciec górnik był powstańcem śląskim. Mama wychowywała mnie i sześcioro rodzeństwa. Byłem przeciętnym chłopcem, niczym szczególnym nie wyróżniałem się z grona rówieśników.

A jednak byłeś organistą w kościele, potem pracowałeś na roli. Amatorski teatr. Zainteresowania matematyką. Tak jak chciał Twój ojciec, podjąłeś studia na politechnice w Gliwicach, zatem miałeś wiele talentów.

Lubiłem bardzo kino, chodziłem z Godowa do pobliskiej Zawady. Pamiętam, jak w roku 1938, łatwo policzyć miałem wtedy zaledwie 10 lat, zobaczyłem Znachora, z wielką rolą Kazimierza Junoszy-Stępowskiego. Wtedy chyba narodziła się myśl, że może będę aktorem. Duże to było przeżycie dla chłopca, jakim wtedy byłem.

Twój tato nie chciał za bardzo, byś został aktorem.

Nie chciał o tym słyszeć, jak wróciłem z kina do domu, było już po północy, to wskoczyłem pod pierzynę po cichu, a ojciec wziął pasek i zaczął lać mnie po tyłku, mówiąc: „ja ci dom Znachora” (uśmiech).

Jaki jest Twój stosunek do tradycji i historii polskiego filmu i teatru? Pytam o to dlatego, bo należysz do pokolenia, które wychowało się na wielkich wzorach w sztuce aktorskiej czy reżyserskiej?

Darku, oglądałem przedwojenne filmy z udziałem takich mistrzów sceny i ekranu, jak m.in. Stanisława Wysocka, Mieczysława Ćwiklińska, wspomniany Junosza Stępowski, ale i też Jerzy Leszczyński, Stefan Jaracz, Józef Węgrzyn, Antoni Fertner, Władysław Grabowski, Aleksander Zelwerowicz, mój nauczyciel. Teatr pamiętam już z okresu moich studiów w Warszawie, chodziliśmy głównie do Teatru Polskiego, to były czasy dyrekcji

Bronisława Dąbrowskiego, a na scenie grali m.in. moi nauczyciele: Marian Wyrzykowski, „Zelwer" i wielu innych.

Kto wywarł największy wpływ na Twoją sztukę aktorską?

Kazimierz Junosza-Stępowski. Był aktorem pozbawionym patosu w grze, bardzo współczesnym jak na tamte czasy.

Warszawską Szkołę Teatralną ukończyłeś w roku 1954 i debiut Twój odbył się na prowincji w Jeleniej Górze.

Takie były uwarunkowania, trzeba było odbyć praktykę na prowincji, choć niektórzy tego nie doświadczali. Grupą z roku zaczęliśmy w Jeleniej Górze po dyplomach u Mariana Wyrzykowskiego i Aleksandra Bardiniego.

Przeglądałem kiedyś książkę meldunkową, kiedy byłeś już w Nowej Hucie i tam a propos Jeleniej Góry, urzędnik napisał - Góra przez u zwykłe.

Może miał na myśli inną Jelenią Górę (śmiech). To była twarda szkoła życia aktorskiego. Objazdy, bieda, jak to w tamtych czasach, ale jednocześnie radość, że możemy grać w teatrze.

Było to już po śmierci Stalina, który też wywołał wiele śmiechu w Twoim życiu.

Jak zmarł, wyznaczono nas, studentów, do pełnienia warty przy jego popiersiu w Szkole Teatralnej. Stałem z Wieśkiem Gołasem, a znany i bardzo dowcipny kolega Zdzisio Leśniak podchodził do nas i robił śmieszne miny. My nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu, ale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że jeśli nas zobaczą tak rozradowanych, to nas wyleją ze szkoły. Na szczęście Bóg nas strzegł.

Franciszku, chcę wrócić jeszcze do Twoich doświadczeń sprzed zawodu aktorskiego, kiedy pracowałeś w kopalni jako górnik.

To był trudny okres , o mało nie straciłem życia. Jeden z górników mnie uratował. Osunął się strop i nagle kolega mnie szybko wyciągnął, w ostatniej chwili, potem wszystko runęło.

Zatem dobrze, że zostałeś aktorem.

Wbrew woli ojca po miesiącu zrezygnowałem z politechniki i zdałem do Warszawskiej Szkoły Teatralnej.

Dlaczego nie do krakowskiej, ze Śląska bliżej było do Krakowa.

Mój nauczyciel w Studium Nauczycielskim, do którego uczęszczałem w Katowicach, był zwolennikiem warszawskiej szkoły i tam mnie skierował.

Mogłem studiować w pięknym Krakowie, w szkole z takimi tradycjami, od Juliusza Osterwy, Ludwika Solskiego, a poza tym na tym roku uczyli się m.in. Zbyszek Cybulski, Leszek Herdegen, Bogumił Kobiela, Tadeusz Śliwiak, Kalina Jędrusik. Ale ja też miałem świetnych kolegów: Gołas, Leśniak, Jurek Dobrowolski, Miecio Czechowicz, byliśmy silną grupą.

Na tym roku w Krakowie był też Edward Dobrzański, wieloletni dziekan krakowskiej Szkoły, Tadeusz Jurasz i Ryszard Kotys, z którym pracowałeś w Nowej Hucie. Jak było w Nowej Hucie, dobrze wspominasz tamte lata?

Uroczo. To był jeden z najpiękniejszych okresów w moim aktorskim życiu. Po Jeleniej Górze dostałem angaż do Warszawy od samego Arnolda Szyfmana do Teatru Polskiego, ale wybrałem świadomie Teatr Ludowy w Nowej Hucie. Przyjąłem propozycje od Krystyny Skuszanki i Jerzego Krasowskiego, którzy obejmowali teatr. Wspaniała atmosfera. Znakomity zespół z Witkiem Pyrkoszem na czele. Piękna nauka rzemiosła aktorskiego. Repertuar klasyczny i współczesny, z jednej strony - Steinbeck, z drugiej Słowacki, Mickiewicz, ponadto Broszkiewicz, Camus, Dąbrowska, Szekspir, niezwykle szeroki wachlarz i dla mnie ważne role, takie jak m.in. Lennie w „Myszach i ludziach”, Senator w „Dziadach”, Kisiel w „Geniuszu sierocym”, Dżuma w „Stanie oblężenia”.

Kiedy zobaczyła Cię Maria Dąbrowska w swoim „Geniuszu sierocym”, zachwyciła się rolą i napisała z uznaniem w „Dziennikach”.

Po latach przeczytałem „Dzienniki” Dąbrowskiej, a do tego teatru przychodzili krytycy, pisał o nas m.in. zaczynający swoją drogę w teatrze Sławomir Mrożek.

W Teatrze Ludowym zagrałeś Horodniczego w „Rewizorze” Gogola u Józefa Szajny.

Praca z Józkiem Szajną była bardzo intrygująca. Miał niesamowite pomysły, rozsadzała go inwencja twórcza. Posadził mnie na środku sceny w wannie, siedziałem z gołym pępkiem i to już było dla mnie za dużo. Podziękowałem Józkowi za współpracę, choć wiele od niego jako aktor nauczyłem się. Był wizjonerem teatru, znakomitym malarzem i scenografem. Jednak nie mieściłem się w stylistyce jego teatru i zmieniłem po „Rewizorze” Teatr Ludowy na Stary Teatr.

Był to okres świetności sceny przy placu Szczepańskim, dyrekcja Zygmunta Hubnera, o którym to Janek Nowicki powiedział, że był dyrektorem tysiąclecia. Wspaniali reżyserzy: Jerzy Jarocki, Konrad Swinarski, Andrzej Wajda, Bogdan Hussakowski, aktorzy, m.in. Anna Polony, Izabela Olszewska, Anna Seniuk, Zofia Niwińska, Maria Bednarska, Wojciech Ruszkowski, Tadeusz Wesołowski, Marek Walczewski, Jerzy Bińczycki, Zdzisław Maklakiewicz, Jerzy Nowak, Jan

Nowicki. Wszedłeś do mocnego zespołu.

Kraków to moja młodość, moja miłość, choć zawsze czuję się Ślązakiem, a od wielu już lat związany jestem z Warszawą i jej scenami. Jednak Stary Teatr to przede wszystkim i to zawsze podkreślam - Konrad Swinarski - jego „Woyzeck". Ta rola była obok Lenniego najważniejszą w mojej pracy. Swinarski był czarodziejem teatru, czuł teatr w niezwykły sposób i tworzył go na naszych oczach, jak nikt inny, bawił się teatrem. Był zupełnie inny niż Jerzy Jarocki. Jarocki reprezentował szkołę Stanisławskiego, Gorczakowa, zaś Swinarski był uczniem Brechta. Dwa różne spojrzenia na sztukę teatru. Stary Teatr miał wiele szczęścia, z jednej strony reżyserzy, z drugiej wspomniani przez ciebie znakomici aktorzy kilku pokoleń.

Rozmawiamy głównie o teatrze, ale Franciszku, będąc w Starym Teatrze, miałeś za sobą już wiele ważnych ról filmowych, m.in. w „Rękopisie znalezionym w Saragossie" u Wojciecha Hasa, a w roku 1966 zacząłeś zdjęcia na planie serialu „Czterej pancerni i pies".

W filmie debiutowałem u Andrzeja Wajdy w „Pokoleniu" niemą rolą, grałem niemieckiego żołnierza na patrolu z Wieśkiem Gołasem. Spotkanie z Wojtkiem Hasem było dużym przeżyciem nie tylko ze względu na jego osobę, ale i znakomity tekst. Nie powiem, jaka była gwiazdorska obsada - Zbyszek Cybulski, Basia Krafftówna, Ludwik Benoit, Bobek Kobiela, Beata Tyszkiewicz, Leon Niemczyk, Gustaw Holoubek, Kazimierz Opaliński, niezwykła muzyka Krzysztofa Pendereckiego, scenografia i kostiumy Lidii i Jerzego Skarżyńskich. Ten film, bardzo baśniowy, pokazywał wszystko, co najpiękniejsze jest w kinie. Potem miałem zagrać u Hasa Wokulskiego w „Lalce", ale nie mogłem pogodzić pracy na tym planie z innym planem i pracą w teatrze. Zagrał tę postać wybornie Mariusz Dmochowski. Żałuję, bo każde spotkanie z Hasem było lekcją wielkiego kina. „Czterej pancerni" to była przygoda, która przyniosła nam ogromną popularność. Byłem Gustlikiem, ale na szczęście wyzwoliłem się z tej roli, potem grając inne ważne postacie, takie jak choćby Jańcio Wodnik. Ale Gustlik pozostał w sercach wielu pokoleń widzów. Miałem tego dowody na każdym kroku, nie tylko na spotkaniach z publicznością. W serialu Konrada Nałęckiego wystąpili znani artyści wielu pokoleń, od Tadeusza Fijewskiego po Mariana Opanię.

Była taka pamiętna wizyta pancernych u nauczycielki, którą grała Anna Lutosławska, słynna scena Gustlika z jajkiem.

Wymyśliłem tę scenę, jak Gustlik nie radzi sobie z krojeniem jajka na talerzu. Ciągle mi uciekało spod noża, aż wreszcie złapałem je do ręki i pokroiłem. Wyglądało to dość zabawnie i rozbawiło moich kolegów: Włodka Pressa, Janusza Gajosa i Romka Wilhelmiego.

Kraków to nie tylko te dwa teatry, w których pracowałeś, ale też kilka

planów filmowych, istotnych w Twojej karierze zawodowej.

Myślisz o „Weselu" Andrzeja Wajdy czy serialu o królowej Bonie Janusza Majewskiego. Ale też i „Król życia", i „Szklana kula" Stanisława Różewicza rozgrywa się w Krakowie. Jest to film mniej znany, ale dla mnie dość ważny. Grałem tam żebraka i pamiętam, że ludzie przechodząc koło mnie, brali za prawdziwego żebraka. „Wesele" Wajdy było cennym doświadczeniem, grałem Czepca. Wajda był chyba zadowolony z mojej roli, bo wymyśliłem scenę, jak Czepiec wychodzi na pole z kosą i wyładowuje swoją energię, ścinając głowy gęsi. Kiedy robiliśmy dubel, Wajda powiedział do mnie „Panie Franciszku, może większy rozmach, będzie więcej gęsi na rosół", (śmiech). Wajda dawał dużą swobodę aktorom na planie, podobnie było w pracy nad „Ziemią obiecaną". W „Królowej Bonie" sceny kręciliśmy na Wawelu, w komnatach i na dziedzińcu arkadowym. Kraków jest pięknym tłem do realizacji takich filmów zwłaszcza o naszej historii.

Dlaczego opuściłeś Kraków, mając tak ugruntowaną pozycje aktora.

Tego nigdy się nie wie do końca. Był rok 1969, Zygmunt Hübner odchodził ze Starego Teatru w atmosferze dość niemiłej. Też już nie widziałem się za bardzo w tym teatrze. Chciałem spróbować coś nowego i wyjechałem do Warszawy. Niedługo po mnie opuścił Stary Teatr, Marek Walczewski, a wcześniej Ania Seniuk.

W Teatrze Dramatycznym zagrałeś m.in. tytułowego Marchołta w utworze Jana Kasprowicza w reżyserii Ludwika Rene.

To była jedyna główna rola w tym teatrze, potem grałem szereg mniejszych ról. Występowałem w Teatrze Narodowym , gdzie pracowałem z Adamem Hanuszkiewiczem. W roku 1975 Hübner zaangażował mnie do nowo powstałego na Warszawskiej Pradze Teatru Powszechnego, z którą to sceną byłem związany prawie 40 lat, aż do przejścia na emeryturę.

Trudno uwierzyć, że Franciszek Pieczka przeszedł na emeryturę aktorską.

Aktorem można być do końca życia i grać tak, jak np. Ludwik Solski. Miał prawie setkę i występował w „Grubych rybach" Bałuckiego. Mnie już wystarczy. Jeszcze kilka lat temu zagrałem w Witkacym, a na 80. urodziny Maciej Wojtyszko zaprosił mnie i Zbyszka Zapasiewicza do pracy nad „Słonecznymi chłopcami", była to ostatnia rola Zapasiewicza.

Franciszku, wróćmy do filmu. Jesteś kojarzony z takimi twórcami jak: Kazimierz Kutz, Witold Leszczyński, Jerzy Hoffman, Jerzy Kawalerowicz, Jan Jakub Kolski. Każdy z tych reżyserów zaufał Ci, bo stworzyłeś w ich filmach postacie, które przeszły do historii polskiego kina. Które filmy cenisz najbardziej?

Nie mogę powiedzieć, że są filmy, które cenię bardziej. Na pewno rolami życia były - Mateusz w „Żywocie Mateusza" czy Jańcio Wodnik, ale też Karczmarz Tag w „Austerii", cenię też bardzo symboliczną rolę św. Piotra w „Quo vadis". I praca z Kazikiem Kutzem, przez śląskie tematy, była bardzo mi bliska.

W Twoim bogatym życiu artystycznym i rodzinnym było chyba wszystko - radość, smutek, spełnienie, nagrody, ale jest w Tobie wielka tęsknota za rodzinnym domem.

Wiele razy już mówiłem, że czuję się Ślązakiem i Ślązakiem umrę, choć był i Kraków, i jest Warszawa, moja Falenica, mała ojczyzna. Jednak Godów jest wryty w serce najgłębiej. Z tej miejscowości, z której się wywodzę, czerpałem swoje siły. Rada Gminy Godów przyznała mi tytuł honorowego obywatela, tak jak Marianowi Dziędzielowi i śp. Zbyszkowi Wodeckiemu. Mam tam rodzinę, przyjaciół. Moi rodzice spoczywają na cmentarzu w Godowie, jak tylko mogę, wracam do tej pięknej malowniczej krainy na Górnym Śląsku położonej nad Olzą.

Wracasz też do Krakowa, co nas bardzo cieszy, zwłaszcza Twoich fanów.

Wracam zawsze do Krakowa. Są takie miejsca na ziemi, bez których nie można żyć, do nich zaliczam Kraków. Ma on niepowtarzalną aurę, tu wyrastają talenty, nie tylko teatralne. Jak dziś z perspektywy tylu lat patrzę, nie spotkałem drugiego takiego reżysera w teatrze, jak Konrad Swinarski. Zapytałeś na początku, czego żałuję, to tego, że nie zagrałem u Swinarskiego w „Pluskwie" Majakowskiego Prysypkina w Narodowym Teatrze, bo już wtedy byłem w zespole u Hübnera. Zagrał tę postać genialnie Tadek Łomnicki. Ale Kondzia wspominam najcieplej z wszystkich reżyserów teatralnych, a miałem ich naprawdę wielu i to znakomitych.

Swinarski o swojej przygodzie z teatrem i Krakowem napisał: „Szukałem po świecie znalazłem w Krakowie". Co znalazł Swinarski w Krakowie?

Swinarski był częścią krakowskiego krajobrazu. Tu mógł w pełni rozwinąć skrzydła. Stworzył piękne spektakle, które stały się legendą teatru m.in. „Dziady" i „Wyzwolenie" z niezapomnianym Jurkiem Trelą w rolach Konrada. W Krakowie w symbiozie od wieków żyją artyści i uczeni. To miasto jest miejscem spotkań towarzysko-kulturalnych, wernisaży, festiwali filmowych, muzycznych, konferencji naukowych. Tak było już w średniowieczu, a potem w dobie renesansu, oświecenia, romantyzmu czy Młodej Polski, która stanowiła swoiste apogeum z Wyspiańskim i Przybyszewskim na czele. Dziś, jak widzę, w Krakowie nastała moda na skwery upamiętniające artystów teatru i filmu. Widać, że włodarze Krakowa lubią i cenią artystów. Jest już skwer Wodeckiego, Holoubka, Wajdy, ma być, to wiem od ciebie, skwer Swinarskiego. To ważne, bo w ten sposób nie będą zapomnieni. Sam jestem wdzięczny za to, że moje 85. urodziny obchodziłem w Krakowie w Ośrodku Kultury im. C.K. Norwida w Nowej Hucie i otrzymałem odznakę Honoris Gratia od prezydenta Krakowa prof. Jacka Majchrowskiego. Tylko 14 lat życia spędziłem w Krakowie i cieszę się, że to pamiętają nie tylko widzowie.

W Teatrze Ludowym w Nowej Hucie w roku 2013 wziąłeś udział w moim programie wspomnieniowym o wielkich polskich artystach teatru, którego tytuł brzmiał: Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej. Wśród wykonawców była Twoja filmowa partnerka Barbara Krafftówna, a o artystach opowiadali i dla nich śpiewali m.in. Zbyszek Wodecki, Marta Stebnicka, Halina Kwiatkowska, Anna Szałapak, Marta Bizoń, Izabela Drobotowicz-Orkisz, Małgorzata Krzysica, Joanna Słowińska, Edward Dobrzański, Olgierd Łukaszewicz, Jan Nowicki, Tadeusz Malak, Jerzy Fedorowicz, Marian Dziędziel, Tadeusz Szybowski, Jacek Wójcicki.

Wspominałem wtedy Józefa Szajnę, którego 100. rocznica urodzin jest obchodzona w tym roku. Kiedy przekroczyłem próg Teatru Ludowego, zajrzałem do garderoby na parterze, nr 15, gdzie siedziałem z Witkiem Pyrkoszem. Łezka w oku się zakręciła, bo tamte klimaty już nigdzie się nie powtórzyły, chyba dlatego, że to była nasza młodość w teatrze, pięknym teatrze.

Na Twoje 95. urodziny widziałbym Ciebie w roli Starego Wiarusa w „Warszawiance” Wyspiańskiego, ale szkoda, że dziś już takich utworów raczej się nie wystawia. Zainteresowania młodych reżyserów idą w innym kierunku. Maciej Wojtyszko mógłby to wystawić np. w Teatrze Dramatycznym, w którym zaczęła się Twoja warszawska praca, a obok Ciebie tacy partnerzy jak Małgosia Kożuchowska, Agata Kulesza, Adaś Woronowicz…

Można pomarzyć - z takimi artystami… Solski to grał, będąc w podobnym wieku co ja. Mało grałem Wyspiańskiego, a to jest geniusz dramatu, teatru. Stary Wiarus czemu nie, zrobić jeszcze tych kilka kroczków na scenie…

A masz plany filmowe?

Moja wnusia Ala jest studentką warszawskiej Szkoły Filmowej i przygotowuje ze swoimi kolegami film, otrzymałem propozycje zagrania w tej etiudzie. Propozycja nie do odrzucenia (uśmiech).

Franku, a gdybyś miał raz jeszcze dokonać wyboru zawodu, czy byłoby to aktorstwo, sztuka aktorska?

Zdecydowanie tak, wybrałbym zawód aktora…